№ 26.

WARSZAWA.

28 Czerwca.

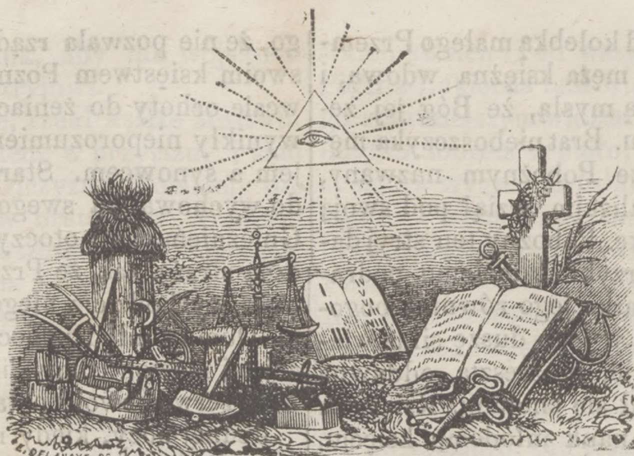
1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

OPOWIADANIE.

O KRÓLU PRZEMYSŁAWIE I ŻONIE JEGO LUDGARDZIE.

I.

MŁODE LATA PRZEMYSŁAWA, JEGO WIĘZIENIE I UCIECZKA.

—

W czasach, kiedy to Polska była podzielona między wielu książętami, urodził się w Poznaniu książe Przemysław. Długo rodzice jego smucili się, że Pan Bóg karze ich za jakieś grzechy, bo nie daje im potomstwa. Ojciec także Przemysław, nazwany Pobożnym był książęciem Wielkopolskim na Poznaniu i Gnieźnie, miał za żonę księżniczkę wrocławską Elżbietę, która była wnuczką świętej Jadwigi. Przeżywszy z nią długie lata, nie dożył pociechy aby miał mękziego potomka, a prosił o syna Boga, modlił się bardzo często nawet i o samej północy, i na ciele nosił ostry kaftan z kłujących włosów zrobiony.

—Któż po mnie odziedziczy księstwo? mawiał nieraz, któż wie, w jakie ręce dostanie się mój kraj? Bóg się zmiłował nad jego troską; nie miał tylko pobożny ojciec tej pociechy, aby własnemi oczyma oglądał syna, bo wkrótce zachorował i dopiero w kilka miesięcy po jego śmierci, owdowiała księżna Elżbieta porodziła synka, którego biskup Poznański na cześć bogobojnego ojca ochrzcił tem samem imieniem, bo Przemysławem. Były to czasy bardzo wojownicze, książęta wojowali z sobą w domu, a na granice napadali nieprzyjacielscy sąsiedzi. Ztad też łatwo sobie można wytłumaczyć ów przestrach ojca, kiedy po tylu latach pożycia nie miał potomka, przez co po śmierci o księstwa jego powstałyby nowe wojny obcych mu książąt. W owych też czasach bezpłodna żona była uważaną za najsroższe nieszczęście, za znak gniewu Bożego, za sprowadzenie na dom czarów przez złego ducha. Tak to aż czarami i zabobonami tłómaczono sobie bardzo niepotrzebnie różne rzeczy. Ale za to jeśli po wielu latach bezpłodnego małżeństwa narodził się syn, to rodzice uważali to jako dowód wielkiej łaski Bożej i patrzeli już na takiego syna jako na sławnego, wielkiego kiedyś w przyszłości człowieka.

Tak też dumała nad kolebką małego Przemcia zasmucona stratą męża księżna wdowa, i pocieszała się tylko tą myslą, że Bóg jej zesłał pociechę w synku. Brat nieboszczyka męża jej Bolesław, także Pobożnym nazwany, co był książęciem Kaliskim, wziął pod swoją opiekę małego sierotkę. Pobożny ten stryj dawał z siebie dobry przykład małemu podrastającemu księciu, matka jego również bogobojna i zacna wpajała w jego duszę silną wiarę i cnoty obywatelskie, bo zresztą oddawna cały jej ród odznaczał się cnotami. Księża ze swej strony udzielali nauk młodemu księciu, uczyli go dziejów ojczystych i wpajali w niego miłość do kraju. A ówcześni księża Poznańscy byli uczeni. Kiedy już Przemysław podrósł, rycerze polscy zaczęli go uczyć na koniu, wprawiali mu ręce do miecza i do kopii to jest do ciężkiej dzidy, bo tak wtedy walczyli rycerze.

Tymi nauczycielami jego byli rycerze: Wojewoda Poznański Przedpełka i Kasztelan Kaliski Janek.

Zaledwie miał też lat 16 Przemysław musiał z nimi wyruszyć do boju przeciwko nieprzyjaciołom Polski. Tymi wrogami byli margrabiowie brandenburscy dzisiejsi Prusacy, co mieli kraj swój o granicę, i z tego kraju rok po roku wdzierali się do Polski i grabili, co im wpadło pod rękę i rozbijali po gościńcach. Wyjechał więc książę Przemysław w pole, a za nim ciągnęła szlachta wielkopolska i uczyła młodego książecia swego, jak to trzeba bić nieprzyjaciół i odbierać im zagrabione przez nich polskie miasta i zamki. Odebrali tedy niemcom zamki Strzelce i Drdzeń i przywrócono je Polsce.

Tymczasem Przemysławowi groziło z innej strony niebezpieczeństwo. Stryj jego, stary Bolesław Pobożny, co po śmierci ojca Przemysławowego rządził księstwem Poznańskiem nie pozwolił się młodemu dziedzicowi wtrącać do rządzenia tem księstwem; zostało tedy Przemysławowi księstwo Gnieźnieńskie. Że żaś ten stryj nie miał dzieci, więc bojąc się, aby kto obcy kiedyś nie zagarnął tych księstw, kazał się czem prędziej żenić Przemysławowi. Przemysław był bardzo żywym i nieugiętym młodzieńcem, nie chciał posłuchać stryja opiekuna swego, i krzywo bardzo patrzał na niego, że nie pozwala rządzić własnem po ojcu swoim księstwem Poznańskiem; nie miał też wcale ochoty do żeniaczki. Z tego wszystkiego wynikły nieporozumienia i spory między stryjem a synowcem. Stary stryj wziął się ostro do wychowanka swego; osadził go w zamku Gnieźnieńskim i otoczył zamek na około baczną strażą, tak, że Przemysławowi nie wolno było wychodzić z niego bez pozwolenia stryja. Dumny młodzieniec nie mógł znosić dłużej tej niewoli i umyślił jakimkolwiek sposobem zerwać swoje pęta.

Jednej nocy, kiedy na dworze wiatr huczał straszliwie, a w zamku wszystko już spało, książecy sierota wydostał się oknem ze swoich pokojów, potajemnie przebył mury zamkowe i bez przewodnika, sam jeden przyszedł pod dom pewnego mieszczanina w Gnieżnie. Mieszczanin ten zwał się Piotr Winiarczyk, a był on zdawna bardzo przychylnym jeszcze do nieboszczyka ojca Przemysławowego. Książe stanął za oknem, zapukał i zawołał z cicha.

— Pietrze! Pietrze!

— Kto tam? ozwał się przebudzony mieszczanin z pokoju.

— Ja, książę Przemysław, przybywam prosić cię o schronienie, a potem o wyprowadzenie mnie bezpieczne z miasta.

Piotr Winiarczyk przyjął książecego zbiega wiernie i mile, zaopatrzył we wszelkie potrzeby i z cicha, bezpiecznie, z miasta uprowadził. Za to później wdzięczny Przemysław grunta owego Piotra uwolnił od wszelkich danin i służebności.

Jadą więc obaj konno przez pola i lasy, jadą dniem i nocą i przybywają do Pomorza do kraju co nad morzem Baltyckiem się ciągnie, gdzie także plemię polskie żyło i gdzie rządził książę Mestwin, co w owe czasy był w wielkiej przyjaźni z książętami Wielkopolskiemi. Kiedy na jego zamek przybył Przemysław i poprosił o gościnę, Stary Książę Mestwin przyjął go z otwartemi rękami, prosił aby mieszkał w jego zamku tak długo jak zechce, a potem wypytywał się, co za przyczyna była tej ucieczki jego? Przemysław opowiedział mu o wszystkiem, jak Stryj Bolesław nie chce go przypuścić do rządzenia w Księstwie Poznańskiem, dopóki pierwéj żony sobie nie znajdzie i jak go kazał uwięzić za to, że mu nie jest posłuszny. Gdy to opowiedział, prosił

starego księcia Mestwina, aby mu wojskiem dopomógł przeciwko stryjowi.

—Na to się nie ważę, rzekł książe Mestwin ja z twoim stryjem jestem w przyjaźni i sam należę do wspólnej Ojczyzny Polskiej, nie chcę więc, aby się krew bratnia w domowej wojnie lała. Lepiej ją oszczędzić na Niemców, z tem wszystkiem jedna jest na to rada.

— Jakaż, mój dobry książę? zapytał Przemysław.

— Oto, odpowiedział Mestwin, jesteś młody, sama pora, abyś się ożenił; nie trudno ci będzie o to, bo na zamku moim bawi przecudna dziewoja księżniczka Lukierda, córka Kaszubskiego Książęcia Mikołaja. Wszak to ród polski, czemuż więc nie miałbyś ją bliżej poznać i nie ożenić się, a przez to przyszedłbyś do zgody ze stryjem i wróciłbyś do księstw swoich bezpiecznie.

Ośmnastoletni Przemysław zadumał się głęboko; nie chciał on jeszcze żony w tak młodocianym wieku, pragnął on jeszcze być swobodniejszym, pragnął pobujać jeszcze po świecie i w bójach ucierać się z nieprzyjaciołmi. Tylko znowu żal mu było księstw ojcowskich, do których go rozgniewany Stryj zapewne nie dopuści teraz, żal mu było z dala zostawać od swoich, na wygnaniu, więc poprosił książęcia Mestwina, aby go z księżniczką Lukierdą zapoznał.

II.

JAK PRZEMYSŁAW BAWI NA ZAMKU SZCZECIŃSKIM I Z CZEM WRACA DO WIELKOPOLSKI. NIEWOLA JEGO. ŚMIERĆ LUDGARDY.

Zamek książecia Pomorskiego Mestwina był w mieście Szczecinie, co leży i dotąd jeszcze nad morzem Baltyckiem w tem miejscu, gdzie rzeka Odra wpada do morza. Był on jak wszystkie z tamtych czasów zamki silnie zbudowany, opasany grubemi murami do koła i najeżony wysokiemi basztami. Przemysław przyjęty mile rozgościł się na zamku jak w swoim domu i coraz bliżej zapoznawał się z księżniczką. Była to młodziuchna panna, bardzo gładkiego lica i słodka jak anioł i pobożna bardzo. Od pierwszego poznania pokochała zaraz młodego, w błyszczącej zbroi przybyłego rycerza Przemysława, ale Przemysław, co prawda, nie myślał wcale o kochaniu, tylko się wciąż smucił, że musi żyć zdala od matki i od wszystkich swoich i od wszystkich podwładnych. Piękna Lukierda tem więcej go kochała, im go smutniejszym widziała, bo żal się w jej serduszku dobrem zrobiło, że młody książę musi się na wygnaniu tułać zdaleka od owdowiałej i zasmuconej matki. Książę Mestwin bardzo się też zaprzyjaźnił z Przemysławem i żeby go rozerwać, kazał grać i śpiewać swoim lirnikom i często wyprawiał łowy, a Przemysław przed nią składał ubite przez siebie zwierzęta. To znowu łódką wyjeżdżali na morze kiedy była pogoda a woda cicha i gładka niby zwierciadło, lub też nad brzegiem morskim przyglądali się rybakom jak ogromne ryby wyciągali z głębiny wodnej. Przywiązał się i Przemysław do tak młodej i pięknej księżniczki i w kilka tygodni wysłał posłów do księcia Mikołaja, by mu zechciał dać córkę Lukierdę za żonę. Książę Mikołaj odpisał, że zgadza się na to małżeństwo i niedługo sam przybył na gody do Szczecina, bo żona jego a matka Lukierdy już tam od początku z córką ciągle bawiła.

Wziął więc ślub Przemysław z Lukierdą, odprawiono wspaniałe gody, na które matka Przemysława i wielu książąt przybyło, a kapela grała na trąbkach, piszczałkach i harfach, kiedy sproszeni goście tańczyli. Co większa! był na tych godach i stary stryj Przemysława, bo jak się tylko dowiedział, że uparty synowiec dał się na żeniaczkę namówić tak zmiękł zaraz, przyjechał do Szczecina i pobłogosławił szczerze młodą parę, a Przemysław uściskał mu kolana i matce swojej do nóg się rzucił, by mu wybaczyła, że ją zmartwił ucieczką swoją. Dobra matka wybaczyła i pobłogosławiła ze łzą radośną nowożeńców parę. Lukierda na wyprawę dostała od rodziców bogate szaty, złotem i perłami szyte i dostała na wiano dużo pieniędzy, i tak wszystko rodzeństwo pojechało radośnie do Wielkopolski; tylko Lukierda czegoś całe drogę smutną była i zanosiła się od płaczu. Któż wie, czego tak płakała, czy jej żal było odjeżdżać, ojca i matki, czy też spodziewała się czegoś smutnego?—Zobaczymy to później.

Gdy więc już przybyli do Poznania, stryj Bolesław oddał Przemysławowi księstwo Poznańskie, tak, że Przemysław teraz prócz tego księstwa mając i Gnieźnieńskie, stał się dość potężnym panem. Rządził on w swoich kra-

jach po ludzku, mądrze i szczodrobliwie, był wzgodzie z poddanymi, kochali go panowie, wieśniacy i księża. Niedługo na Szląsku granicznym powstała okropna zawierucha wojenna, w której Bolesław zwany Rogatka książe Lignicki, pojmał Henryka książęcia Wrocławskiego i w więzieniu trzymał; z jednej strony wystąpili do wojny Bolesław książę Kaliski, i Bolesław Wstydliwy książę Krakowski, a z drugiej strony niespokojny Bolesław Rogatka książę Lignicki i syn jego Henryk ze zgrają niemców. Nasz Przemysław pociągnął z wojskiem na Szląsk żeby Henryka Wrocławskiego swojego bratanka z więzienia uwolnić, złączył się z innemi książętami, ale książę Rogaty pobił wszystkich i jeszcze Przemysława co miał szczupłe wojsko przy sobie, pochwycił i do więzienia wtrącił.

W krótce Przemysław okupić się musiał drogo Rogatemu i wyszedł na wolność; ale cztery lata potem patrzmy! jak mu się wywdzięczył bratanek Henryk ów książę Szląski którego chciał z więzienia uwolnić. Oto ten Henryk ostrzył oddawna zęby na księstwa Przemysława, żeby zaś mu je wydrzeć, chwyta się tego podstępu. Zaprasza Przemysława i innych książąt do zamku szląskiego Barycza niby to na jakieś gody i dla pogodzenia się zupełnego; ci przybywają z zaufaniem do niego, a on tymczasem wszystkich zdradliwie powiązał i odesłał do więzienia na zamek Wrocławski. Ujęli się za uwięzionymi inni książęta Polscy i srogo pustoszyli kraje Henryka, ale on dopóty trzymał Przemysława w więzieniu, dopóki nie przysiągł, że mu ustąpi ziemi Wieluńskiej, co się dawniej Rudzką zwała.

(Dokończenie nastąpi.)

Każdy modlić się powinien.

(Dokończenie.)

Całą drogę do chałupy opowiadała mu Szymonowa, to o swoim wczorajszym przestrachu i dzieciach, to o małem swojem gospodarstwie, nareszcie o cudach, jakich tyle razy doznała i jéj gromada od Ś. Józefa, którego obraz ma w chałupie. Zobaczycie to sami rzekła: co to za miłosierna twarz; w każdéj potrzebie jak człek spojrzy i pomodli się, to na sercu uczuje, jakby już był wysłuchany. Wczoraj napłakałam się za temi dzieciskami, a jak tylko odmówiłam pacierz do Ś. opiekuna, to mnie i rozpacz ominęła, i dziś choć szłam, to nie taka zatrwożona. Tak opowiając Szymonowa, doszła do chałupy. Gość w dom, Bóg w dom, zaczęła więc starego częstować, wszystkiem co miała, i strawą uczciwą i sercem dobrem, a prosząc żeby jéj chałupy nigdy nie mijał.

Dopytywała się gdzie mieszka i w końcu rzekła: musicie mieć żonę i dzieci, boście już stateczni. W każdéj potrzebie przyjdzcie do tego Ś. obrazu, a znajdziecie ulgę, sami o tem przekonacie się. Tak, rzekł stary, ale czy każdy godzien téj Śtéj opieki? czy godzien żeby był wysłuchany? żeby się nawet ośmielił podnieść głos swój do Boga? Tu stary zamyślił się, a potem rzekł: Poczciwą pobożną i litościwą jesteście kobietą. Tacy ludzie niczem nie gardzą. Posłuchajcie mojéj historyi. Nazywam się Walenty Sobek: byłem młody uczciwy i pracowity, służyłem za parobka, zawsze miałem miejsce, chleb i odzienie, bo poczciwie pracowałem. Dwadzieścia cztery lat mając, ożeniłem się, z córką gospodadza u którego służyłem. Była to dorodna, pracowita dziewucha, a nabożna jak nie było drugiéj w całéj gromadzie. Cała jéj ufność w nieszczęściu czy w szczęściu, była w Bogu. Ja zaś, choć poczciwie żyłem, ale wcale nie byłem skłonny do kościoła i modlitwy, często się lubiłem zabałamucić, zapominałem czasem i o święcie, a wtedy już u żony mojéj nieboszczki były łzy i zmartwienie, nuż mnie napominać, nuż prosić, i na jaki czas to mnie znów odwiodła od karczmy, a nakłoniła do kościoła. Kochałem ją też nad życie, i to mówiąc stary, otarł łzy rękawem. Mieliśmy jedną córkę, ale ta w dziesiątym roku umarła na ospę. Potem nie było już dzieci, a żona moja przeżywszy zemną lat dwadzieścia, na gorączkę zmarła także, młoda jeszcze, bo czterdziestu lat nie miała.

Po jéj śmierci, rozpacz straszna mnie ogarnęła, a zamiast w tej niemocy iść do kościoła, do spowiedzi, przyjaciele ciągnęli do karczmy. Dzień za dniem tak schodził, a ja od rana do nocy prawie zawsze byłem pijany, gdy przyszła przytomność, ogarniał mnie znów smutek większy, więc znów do

wódki, i sam niewiem kiedy, ale widać po pijanemu, zrobiłem znajomość z opryszkami. Kiedy przyszedłem do zupełnej przytomności, to już z nimi od kilka dni byłem, i jak przez sen przypominałam sobie, o jakichś kradzieżach. Wyrzut uczułem w duszy, bo moje lata przeżyłem poczciwie, trzeba się było zagłuszyć, więc znów piłem z drugim ibez upamiętania, nareszcie tak przyswoili mnie do siebie, że piętnaście lat żyję pomiędzy niemi i jestem opryszkim. Opryszkiem smutnym wyrzekł głosem, potem twarz zakrył rękoma i długo milczał....

— Mogęż ja się znajdować między temi, którym miłosierdzie boskie przebacza, dziś biorę kij w rękę, i idę żyć jak pielgrzym, w nędzy i tułactwie, ale czyż to wystarczy, ażeby odpokutować tyle zbrodni, tyle łez bliźnich: załamał ręce, a potem dodał: teraz człowiek coraz starszy, nie tyle pić może co dawniéj, częściej przychodzi rozwaga. Dawno już myślałem porzucić to wszystko, i zbierałem się z dnia na dzień, a kiedym zobaczył te wasze dzieciska, ich ufność w Bogu, te ich poczciwą niewinność, zupełnie skruszałem na duszy i postanowiłem rozpocząć poprawę. Jeśli po latach kilku zdrów będę, i Bóg mnie w pokucie zachowa, to was odwiedzę, a mówiąc to, wziął kij, pożegnał Szymonowę i jéj dzieci i wyszedł. Szymonowa krzyżem Śtym go pożegnała, pocieszając, że miłosierdzie boskie nie ma granic. Po wyjściu Walentego, Szymonowa powiedziała dzieciom, czem to staje się człowiek, który zapomni o Bogu; a potem zapytała Marysi, czy wie teraz dla czego każdy modlić się powinien? Modlitwa mówiła ona szczera i pokorna, najwięcej łączy nas z Bogiem, potem zwraca nas ku lepszemu i prowadzi do dobrego służenia i pracy dla Boga, Ojczyzny naszej i bliźnich.

Dzieci słuchały uważnie a zasmucał ich bardzo Walenty. Pytały matki wiele razy, czy jemu aby pan Bóg przebaczy? Bóg tak jest dobry Ojciec dla nas ludzi mówiła Szymonowa, że nie ma występku, którego by po szczeréj pokucie i nawróceniu się nie przebaczył człowiekowi, ale twarda musi być pokuta, żal nieskończony a uczynki dobre.

Po owym wypadku w chacie Szymonowej wszystko do dawnego wróciło porządku. Dzieci posyłała co drugi dzień do szkoły, i przyzwyczajała je przytem do roboty: to w chacie uprzątały, to jej w pole jeść nosiły, i schodził tak dzień za dniem, spokojnie i pracowicie. Już Szymonowa mały zapas zebrała pieniędzy zarobionych przy żniwie, juz i swoje ogrody obrobiła i zaczęła kopać kartofle, gdy dnia pewnego po pracy, spokojna i wesoła wracając do domu, a zobaczywszy samą tylko Marysię zapytała: a gdzież jest Jaśko? Myślałam rzekła Myrysia że on jest przy was bo jak na południe poniósł wam jeść jeszcze dotąd nie wrócił.

— Wziął dwojaki po obiedzie jak i wczoraj i poszedł do domu rzekła matka. Przygotuj kolacyę, a ja pójdę do Józwowej, czy go tam dzieci nie widziały i wyszła Szymonowa, ale w żadnéj chałupie od wczoraj go nie widzieli. Marysia nie widząc powracającego z matką Jaśka, zaczęła płakać, że go pewno już teraz zbóje zabili, choć on mówił że już nigdy a nigdy w tę stronę nie pójdzie i zawsze mi te miejsca ku górom pokazywał. Biedna Szymonowa uspakajała jak mogła Marysię, tuliła do siebie, a sama okropnie była przestraszona. Tłumiła żal, żeby nie przestraszać dziecka, namówiła ją że się spać położyła, sama zaś poszła szukać Jaśka. Księżyc prześlicznie oświecał pola, łąki i góry, widać było doskonale każdy krzaczek, każdą prawie gałązkę. Biedna matka, biegła coraz bardziej w głąb lasu bez przestanku wołając Jaśku mój Jaśku! Jaśku kochany! ale echo jéj tylko próżne odpowiadało. Dzień już był dobry kiedy biedne kobiecisko wróciło do domu, a nie znalazłszy nigdzie swego dziecka, i widząc że Marysia spi jeszcze , pobiegła znów w inną stronę nad rzekę i wypytywała się przewoźników, którzy nic jéj objaśnić nie potrafili, wróciła więc, i znów musiała uspokajać i pocieszać Marysię, która bardzo kochała brata. Tak w ciągłéj boleści matki i córki przeszedł dzień jeden, drugi i trzeci i następne, a Jaśka ani widać, ani słychać o nim nie było.

Co dzień biedna matka, rano i w wieczór, biegała po lesie, to nad brzegami rzeki, myśląc że jeżeli utonął, to woda wyrzuci ciało jéj najdroższego dziecka, co dzień biegła tam płacząc i załamując ręce. Wiele razy zdawało się jéj w wielkiéj boleści, że lepiej rzucić

się w wodę, i w smierci szukać ulgi, lecz gdy pomyślała że może zbójcy w górach porwali go, wybierała się pójść do ich legowiska, i albo ztamtąd wydrzeć go, albo też z nim razem umrzeć, ale silna jéj wiara i ufność w Bogu, a potem myśl, że ma jeszcze jedno dziecko, dla którego równeż ma obowiązki, odwracały od niej złe myśli.

Pleban tamtéjszej parafii, pobożny staruszek, znając wszystkich swoich parafian, zaglądał czasami i do Szymonowej, a słowo Chrystusa wytrwałości i wiary z ust cnotliwego kapłana, zawsze na jakiś czas sprawiło ulgę nieszczęśliwemu sercu. Długi czas minął od owego wypadku, Marysia bardzo już podrosła i zapomniała o smutku, Szymonowéj cierpienia czas i religija zmniejszyły a cierpienie to, zamiemiło się w spokojne, ale trawiące serce, rozrzewnieniez którem człowiek niby spokojny, żyje, kładzie się, zasypia i wstaje, a ból ten dopiero w grobie ustaje.

Razu jednego podług zwyczaju, przyszedł ją odwiedzieć pobożny pleban, Szymonowa, prosiła go, ażeby po drugiej stronie cudownego obrazu Ś. Józefa napisał datę i dzień kiedy zginął syn jéj ukochany, i że stroskana matka, poleca cudownej opiece Ś. Józefa jego los cały i przyszłość. Walenty od owego czasu, raz tylko był w chacie Szymonowej, a od paru lat nie pokazywał się wcale.

Jasiek tym czasem żył szczęśliwy i kochany. Powracając z pola od matki, znalazł w choinie parę grzybków, a że to był rok suchy i trudno były o nie, chłopczyna ucieszony, szedł coraz daléj, a nazbierawszy pełną czapkę grzybów, zapuścił się w las, mysląc sobie: że daleko jest od gór, więc nie ma się czego obawiać, szedł więc sobie lasem, ciągle grzybki zbierając i tak wyszedł aż nad rzekę. Tam stało kilka statków. Dzieci orylów bawiły się nad brzegiem. Najstarsza z nich Helenka, córka pana Nerr, bogatego kupca, który płynął do Gdańska, zaczepiła Jaśka i wciągnęła do zabawy.

Wieczorem statek odpływał, a Jaśko widząc że on sam został, zaczął płakać i narzekać, że nie wie jak wrócić do domu.

Rodzice Helenki pytali się gdzie mieszkają jego rodzice, ale on umiał tylko powiedzić, że nie ma ojca, a matka nazywa się Szymonowa a nazwiska wsi nieznał. Pan Nerr zachęcał szyprów, ażeby chłopca do domu odprowadzili, ale żaden z nich nie znał okolicy, więc i odprowadzić nie mógł. W takiem położeniu rzeczy, Nerr niechcąc dziecka zostawiać samego w nieznanej mu okolicy, zabrał go z sobą.

Ucieszyła się tem bardzo Helenka córka jego, a wziąwszy Jaśka za rękę, poprowadziła na berlinke, gdzie bardzo podobało się Jaśkowi. Pokazywała mu coraz to nowe zabawki, których on nigdy nie widział, tak zajęty chłopczyna ani pomyślał, że wśród obcych jest ludzi. Przypłynąwszy do Gdańska, Jasiek uczył się razem z Helenką, a że okazywał wiele zdolności, we dwa lata oddany był do szkół. Państwo Nerr mieli tylko jedną córkę, a przybranego sierotę pokochali jak syna. Po skończeniu edukacyi, pomagał on w handlu Nerrowi, którygo przyjąwszy za syna, swoim nawet nazwał nazwiskiem.

Po śmierci żony swojéj, Nerr podeszły w latach zdał cały handel na Jaśka i ożenił go z córką swoją Helenką, która go nad życie kochała.

Żyli z sobą bardzo szczęśliwie, a z chaty Szymonowéj smutek nie wychodził Młodemu małżeństwu Bóg dał dwóch synów, których chowali w miłości Boga i ludu. Szczęście na świecie nigdy nie jest trwałe, a smutek go często przeplata. I ich piękna dola zachmurzyła się. Umarł im ojciec pobłogosławiwszy dzieci i wnuki. Długi był żał obojga, a szczególniej też córki po stracie najlepszego ojca. Po ojcu został im się duży majątek, wiele przytem interesów. Pewnego razu oznajmił żonie, że ojciec zostawił znaczne pieniądze na dobrach w Krakowskiem. Właściciele tych dóbr tak podupadli, że nie są w stanie wypłacić takowych, ale chcą za dług oddać im owe dwie wsie, w których Jaś zamieszkać postanowił. Smutno było Helenie porzucać rodzinne miejsca, ale widząc tego konieczną potrzebę, a przytem życzenie męża, starała się nie dać mu nawet poznać swojego smutku.

W rok więc po owem postanowieniu, interesa załatwione i wszystko było gotowe do odjazdu. Przybywszy na miejsce, nowy dziedzic poznał naprzód swoich włościan, wysłuchał ich potrzeb, zażaleń i zajął się potem

porządkowaniem majątku i lasów. Dnia jednego wyjechał, chcąc być obecny ścinaniu i wybieraniu drzew na opał i na budowle.

Robotnicy długo podcinali siekierami dąb jeden stary, nareście przy ostatniem cięciu, drzewo z łoskotem padło na ziemię, odpadło wydrążenie, i w drzewie ukazał się obraz.

Jaś zbliżył się i zaczął go oglądać. Był to ładny wizerunek Ś. Józefa, długo przypatrywał mu się, nareszcie z drugiéj strony, zaczął czytać co następuje: 1808 roku 30 Września zginął syn mój ukochany Jan mając lat ośm, co się z nim dzieje, nie wiem, polecam cudownéj opiece Ś. Józefa moje ukochane dziecko. Anna Szymonowa. Jaś zbladł ze wzruszenia i ręce mu zadrzały. To więc moja matka, rzekł: Moja droga matka, ten obraz tutaj umieściła, i znów czytał i całował Śty wizerunek. O kilkadziesiąt kroków, staruszek z białą jak śnieg brodą zbierał gałązki na opał, a co przygarnął troche, to odpoczywał. Zobaczywszy z daleka, obraz wyjęty z drzewa, przyśpieszył kroku, a kijem się podpierając, zbliżył się do dziedzica, i rzekł: Proszę Jaśnie pana, znam kobietę, do któréj ten obraz należy. Uciekając przed wojną, bała się, żeby to co miała najdroższego nie zabrali jéj żołnierze, i włożyła go w drzewo, w którem dotąd zostawał mchem zarosły.—To więc żyje jeszcze moja droga matka, prowadźcie mnie do niéj rzekł bogaty Jaś, pan dwóch włości. Mieszka w drugiéj wsi, u córki swéj sołtysowej, ja zaś rzekł staruszek, jestem Walenty, ten sam co to Jaśnie pana wyprowadziłem z siostrą Marysią dzisiejszą sołtysową, kiedyście się zabłąkali w górach. Jaś jak przez sen przypominał sobie to zdarzenie, i uściskał całem sercem Walentego, a wsiadłszy z nim spiesznie na bryczkę, pojechał do matki. Walenty poszedł naprzód, żeby przysposobić staruszkę do tak radośnego spotkania. Wszedł do ubogiej chaty Jaś, padł matce do nog i ściskał ze łzami siostrę. Ile tam było radości, szczęścia, trudno sobie wyobrazić. Nareście rzekła sołtysowa: oj prawdę całe życie mawiała matka, że każdy modlić się powinien, bo tylko chyba jéj modlitwa, takie szczęście tobie wyjednała mój bracie. Jaś zabrał matkę do siebie, gdzie dopiero staruszka, za cierpienia całego prawie życia, doznawała prawdziwego szczęścia pośród dzieci i wnuków. Walentego chciał Jaś wziąść do siebie, ale on wolał zostać w ciemnym lesie w swojéj z chrustu zrobionej chałupie mówiąc: nie długo się i moja skończy pokuta, tylko że za krótkie było życie na odżałowanie grzechów, trzeba na tamten świat resztę wziąść długu. Niechcę ja tu już innego szczęścia nad to, które mam, dosyć że poczciwa Szymonowa wynagrodzona jest za wszystkie cierpienia. Nigdy ona też biednym nie gardziła ale przeciwnie, przytuliła do serca każde nieszczęście, wieleż to razy, ja ubogi żebrak, kiedym często rady dać sobie nie mógł na świecie, u niéj pociechę, zachętę do wytrwałości w pokucie znalazłem.

— Bądźcie zdrowi, mnie nie wolno żyć z temi których kocham, bo w tem moja pokuta.

Bądźcie więc zdrowi, raz jeszcze i na wieki, a jeśli kiedy usłyszycie, że umarł stary pustelnik, powiedźcie wieczny odpoczynek i westchnijcie o jego przebaczenie w niebie. Słabym krokiem wyszedł staruszek, i więcej już o nim nigdy nie słyszano. Rodzina Jasia doznawała prawdziwej roskoszy. Co niedziela cała rodzina gromadziła się na obiad we dworze i miło to było widzieć, jak bogaci nie gardzili uboższymi krewnymi, a wykształceni nie wywyższali się nad ciemniejszymi. Jaś był też przy tem i dobrym panem i kochającym wszystkich rodaków bez różnicy stanu i wyznania, jak prawdziwych braci. W swoim pokoju umieścił wizerunek Ś. Józefa, dodawszy nad nim wyrazy, dużemi literami napisane: Każdy modlić się powinien. Do jego pokoju przychodziły zwykle jego dzieci i odmawiały rano i wieczór modlitwy, przed tym Śtym wizerunkiem.

PIELĘGNOWANIE CHORYCH.

Część Pierwsza.

Utrzymanie chorego (Hygiena.)

V Łóżko, pościel i inne dla leżenia chorego potrzebne rzeczy.

(dalszy ciąg.)

—

Kołdry najniezdrowsze są watowe pikowa-

ne, bo zatrzymują w sobie pot i wyziewy chorego, lekkie kołdry wełniane nie mają tej niedogodności, kołdra powinna być podszyta prześcieradłem. Kobiety bardzo często nie mogą się obejść bez puchowego becika, który kładą na kołdrę, na nogi, becik taki trzeba bardzo często przewietrzać.

Samo położenie chorego w łóżku zależy od rodzaju choroby: najlepiej jeżeli chory leży na tym boku, na którym mu jest dogodniej. Przy ranach wybiera się takie położenie, przy którem ropa najłatwiej może odpływać. W cierpieniach brzusznych kolana powinny być przyciągniete do brzucha. W ogóle w chorobach długotrwałych a szczególniej durzycy potrzeba żeby chory w miarę możności zmieniał położenie z jednego boku na drugi.

Płaty flanelowe lub sukienne, albo lepiej złożone we czworo prześcieradło grube podkładają się w celu ochronienia materaców od przemoknięcia i zabrudzenia u takich chorych, którzy mimo woli i bez wiedzy mocz lub kał oddają. Przy obfitem ropieniu a także przy połogowem oczyszczeniu u położnic, płaty te nagrzane powinny być gładko podsunięte pod chorego. Jeżeli odchody są obfite, to między płatem a prześcieradłem trzeba położyć ceratę, a na płat miękką gąbkę, którą należy często wymywać. U położnic płat pokrywa się kawałkiem białego płótna w celu łatwiejszego rozpoznania zdarzającego się krwotoku.

Zmoczony i zbrudzony płat natychmiast powinien być usunięty nietylko z pod chorego, ale nawet i z pokoju chorego, części ciała powalane obmywają się gąbką zmoczoną w letniej wodzie, obsuszają się, i podsuwa się świeży płat pod chorego. Jeżeli się robią chorym zimne okłady na głowę, to poduszka powinna być pokrytą ceratą.

4. *Wieńce* zamszowe wypchane włosami końskiemi podkładają się pod krzyż chorych w celu uniknienia odleżenia, takież mniejsze wypchane watą podkładają się w tym celu pod pięty. Dobrze jest także mieć dla podłożenia pod chorego, żeby się nieodleżał, skórę sarnią, lub jelenią a najlepiej łosią; ta ostatnia jest gruba miękka nietworzy fałd, tylko za droga.

Prześcielanie łóżka chorego odbywa się zwyczajnie w godzinach rannych. Najzdrowiej jest jeżeli chory ma dwa łóżka, z których na każdem leży po 12 godzin, przez który to czas wietrzą się rzeczy z niezajętego łóżka. Ważność przewietrzania pościeli łatwo zrozumieć wspomniawszy, że z płuc i ze skóry dorosłego człowieka w przeciągu doby wydziela się wiele pary wodnéj połączonej z cząstkami organicznemi, czego znaczna część wsiąka w pościel. W braku drugiego łóżka, dla tymczasowego pomieszczenia chorego, służy sofa, a u chorych mogących siedzieć fotel.

Chorych bardzo osłabionych ale przytomnych, najłatwiej przeniesie z jednego łóżka na drugie miernej siły, ale zręczny człowiek następującym sposobem: prawą rękę swoją podkłada pod kolana, lewą zaś pod lędźwie chorego, który powinien przenoszącego objąć rękami za szyję. Przenoszenie takie odbywa się łatwo i bez wstrząśnień, potrzeba tylko, aby przenoszący niepośliznął się, albo niezawadził o co nogą, czemu łatwo zapobiedz usunąwszy uprzednio przeszkody. Rozumie się, że łóżko, na które się przenosi chorego powinno głowami być obrócone w przeciwną stronę.

Chorych ciężkich i obolałych których trudno by było przenieść jednemu powinno przenosić 2 a nawet 4 ludzi z których dwaj stojąc z przeciwnych stron chorego podkładają pod niego ręce wyżej wspomnianym sposobem, trzeci wspiera głowę, a czwarty unosi nogi, lub podsuwa się pod chorego szerokie płótno za końce którego albo podnosi 6 osób, albo też przez lekkie pociąganie płótna przesuwa się chory zwolna na obok stojące łóżko.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12, — półrocznie złp. 6. — ćwierćrocznie złp. 3· — miesięcznie złp. 1
Naprowincyi, na wszystkich stacjach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Naprowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 1 gr.10 za exemplarz pisma, każdy preunmerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty·

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 28 Czerwca 1863 r.